

Czasami tak się zastanawiam – Co jeszcze może mnie w życiu zaskoczyć?

Zazwyczaj na odpowiedź nie muszę długo czekać. Zawsze, powtórzę zawsze wydarzy się coś, co sprawia, że... sam nie wiem jak to określić.

Monika była moją drugą połową, byłem jej pewny na sto procent, oddałbym za nią życie. Znałem ją, znałem ją wydawałoby się tak dobrze. Gdyby ktokolwiek zapytałby mnie jeszcze wczoraj, czy stawiam na szalę swej pewności zwycięstwa życie, bez zastanowienia powiedziałbym tak. Żadnego, absolutnie żadnego ryzyka na tamten czas bym nie widział. To było jeszcze wczoraj.

Niespodziewany atak złości - rozsadza czaszkę.

Dwukrotnie uderzam pięścią w masywny drewniany stół. Ból daje ujście złej energii, przez co natychmiast odczuwam ulgę, zbawienną ulgę. Odzyskuję pełnię świadomości.

Z Moniką znałem się od przedszkola. Od razu byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Wiadomo, jako pięcioletni dzieciak, nie mogłem czuć względem niej pociągu seksualnego, czy też miłości. Niemniej od zawsze uwielbiałem z nią i tylko z nią spędzać czas. Jak się bardzo szybko okazało i vice versa.

Którykolwiek z chłopaków podchodził do niej, automatycznie stawał się moim wrogiem. Monika od urodzenia była pięknym dzieckiem. Stąd biłem się o nią średnio raz na tydzień. Pasma moich zwycięstw, zostało zatrzymane przez Mariana z ósmej B. Złał mnie tylko i wyłącznie, dlatego, że był dużo większy. W ósmej klasie miał dwa metry, przy moich stu siedemdziesięciu ośmiu.

Cóż mu jednak z tego było, jak zupełnie nie był w typie Moniki. Zresztą i tak od zawsze wszyscy wiedzieli, że ja i Monia jesteśmy dla siebie stworzeni.

Nasza miłość przetrwała wszystko, poczynając od dwuletniej rozłąki, z racji mojego wyjazdu do Kanady, poprzez śmierć najbliższych nam osób, konkretnie chodzi o Rodziców. Poprzez dwukrotną utratę dziecka. W Pierwszy przypadku, było to poronienie. W drugim, nasz pięcioletni syn Łukaszek, wybiegł na ulicę wprost pod nadjeżdżający autokar.

Daliśmy radę, przetrwaliśmy, a było naprawdę ciężko i masz...

Wczoraj dowiedziałem się, że Monia ma kochanka. Pięćdziesięcioletniego zgreda, a jakżeby inaczej, teraz swego, wtedy jeszcze naszego wspólnego szefa. Tak na marginesie, straciłem pracę.

Łatwo się domyśleć, co mogło być przyczyną. Otóż dotąd katowałem szefa, aż ten wypluł wszystkie zęby. Nie mam pojęcia, jaki jest jego stan, i tak szczerze powiedziawszy gównu mnie to obchodzi. W restauracji było, co prawda kilku mężczyzn, nikt jednak nie kwapił się by w jakikolwiek sposób zapobiec masakrze szefa. Ponoć wyglądałem, jakby coś mnie opętało. Niewykluczone, iż tak było.

Z pełną odpowiedzialnością zaręczam, że nic z samego zajścia nie pamiętam. Zerwał mi się po prostu film, kompletny reset, zaznaczam byłem trzeźwy.

Ocknąłem się na zewnątrz, przed restauracją. Dominik, mój kolega z pracy, kazał mi jak najszybciej odejść. Marcin z Wojtkiem wcisnęli mnie na siłę do taryfy.

Jechaliśmy w milczeniu. Mimo usilnych prób wyostrenia wzroku, wszystko się rozmazywało. Budynki, idący ulicą ludzie, wystawy sklepów wszystko było nieostre niczym rozmazana na moich oczach mazią.

Pół godziny później, cierpiarz wysadził mnie przed hotelem Solar. To właśnie tu się ukrywam, czekając na... Sam nie wiem do końca, na co. Po cichu liczę na ślizg, nie mam pojęcia, jakim cudem, niemniej liczę, że nie poniosę konsekwencji czynu. Tak między Bogiem, a prawdą, każdy chętnie na moim miejscu postąpiłby tak samo, więc większość mnie rozumie.

Ogólnie posiedzę w hotelu i popatrzę jak potoczy się bieg kolejnych następujących po sobie zdarzeń.

Na samą myśl, że on ją dotykał, pieścił...

Najgorsza w takich chwilach jest wyobraźnia, ta to potrafi zdruzgotać głowę. Odnoszę wrażenie jakby cały mózg, cały umysł zalewała fala złości, desperacji, na koniec wściekłości.

Zrywam się na równe nogi. Wstając, potrącam stojącą przy łóżku półtora litrową butelkę Coca-Coli.

Plastykowa butla, niczym walec turla się w stronę ściany.

Szybkim krokiem idę w stronę drzwi balkonowych, przekręcam klamkę. W twarz bucha chłodny, rześko – niebieski zapach pogodnego wieczoru. Rozglądam się po okolicy. Jeżeli chodzi o widok, jest wyśmienity. Dostałem pokój na ostatnim dwudziestym siódmym piętrze.

Arteriami miasta przemierza się spora liczba aut, głównie taksówek. Co skrzyżowanie białe, ledowo - zimne światła pojazdów, mijają się, gnając każde w swoją stronę. Sztuczne światła aut słabną na chwilę w żółto - ciepłym świetle miejscowych latarni.

Świat się nie zatrzymał, nawet nie zwolnił, tylko moje życie się zatrzymało, a raczej skończyło.

Nagły natłok myśli jest nie do zniesienia. Są złe, czuję, że za wszelką cenę chcą przejąć władzę nad moim umysłem, a następnie ciałem.

Umarłem, tak dokładnie, dotychczasowy ja umarłem. Czarę goryczy przelewa fakt utraty pracy, w pakiecie ze sprawą o mam nadzieje tylko pobicie, choć coś tak czuję, że bez trwałego uszczerbku na zdrowiu się nie obejdzie. W razie jakby, co mogę go dobić szmatę.

Przechodzę przez barierki balkonu. Spoglądam w dół. Jeszcze nigdy nie widziałem miasta z takiej perspektywy. Znikają problemy, troski, złe myśli. Wszystko przyćmiewa uczucie najpierw niepewności, później jakby lęku spowodowanego nagłymi - delikatnymi zawrotami głowy.

Stoję wychylony na całą długość ręki. Co czuję? Przede wszystkim niepewność i cienką granicę między życiem, a śmiercią. Pode mną, dwadzieścia siedem pięter swobodnego lotu ku ziemi. Bezlitosna siła grawitacji nada mi zabójczą prędkość, ta z kolei do spółki z twardym podłożem w postaci kostek brukowych,

strzaska moją fizyczność na przysłowiowy Amen.

Unoszę wzrok. W kilkudziesięciu oknach w budynku naprzeciwko palą się światła.

Okno w drugim rzędzie od szczytu, na przedostatnim dwudziestym którymś piętrze.

Dziewczyna czesząc włosy, rozmawia z kimś przez telefon komórkowy. Cały czas, nieprzerwanie chodzi po pokoju, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Zupełnie niespodziewanie wygina ciało, buchając śmiechem. Musiała usłyszeć coś szalonego.

Dwa piętra niżej, młody gość wydziera się na telewizor. Gostek krzyczy, wymachuje rękoma, na koniec ciska pilotem o ścianę. Światło w pokoju obok zapala się, po chwili do nerwusa podchodzi starsza kobieta. Niezwłocznie uderza nerwowego z całej siły w twarz, czyniąc to tak, że ten zatacza się i ucieka do sąsiedniego pomieszczenia, trzaskając drzwiami. Uśmiecham się.

Dwa okna obok, po pokoju chodzi nieprzerwanie gestykujący dłońmi chłopak. Siedząca na wersalce dziewczyna, chowa w tym czasie twarz w dłoniach. Podchodzi do niej, siada obok, obejmuje. Przytula się do niego. On coś mówi. Dziewczyna podnosi głowę, całuje go. Co, on mógł jej powiedzieć?

Może - Będziemy zawsze razem – albo - Kocham cię, nasza miłość przewycięży wszystko, damy radę – parszam śmiechem.

Brzęk uderzających o podłogę sztućców, wrywa mnie z chwili zamyślenia.

W wielu oknach palą się różne odcienie koloru białego, żółtego, pomarańczowego. Wyjątkiem są okna klatek schodowych. Rozbłyskują naraz, na komendę, tym samym jakby ustalonym, chłodnym odcieniem sterylnie jasnej bieli.

W każdym oknie rozgrywa się inna historia. Łączy je jeden tytuł „, któryś ze scenariuszów życia”. Spoglądam na ulicę. Jadące samochody, idący chodnikami ludzie, każdy ma swą opowieść.

- Bruno, do nogi! – dzielnicę przeszywa piskliwy kobiecy głos. Po chwili słysząc odgłosy charczenia, gryzienia, wycia i znów gryzienia.

- O Boże, Bruno! – krzyczy kobieta.

- Pani go zabierze!

- Bruno, coś ty narobił.

- Pani trzyma swego pieska na smyczy, bo mu się krzywda stanie.

- Też coś – odpowiada arogancko kobieta – mój Bruno, nie z takimi sobie radził.

- No właśnie, nie z takimi, a konkretnie nie z takim, a już na pewno nie z tym. Proszę go zabrać.

Kobieta chwytając za obrozę swego pita. Niespełna dwie minuty później, państwo rozchodzą się.

Gość wróci do domu i opowie żonie jak to miał do czynienia z arogancką pipą z miniaturką pit – buła.

Kobieta za to opowie swemu chłopakowi, jaki to ostry jest jej Bruno i jak to dzisiaj pogonił kaukaza. Na dźwięk słowa kaukaz, chłopakowi zrzednie mina.

Uśmiecham się, jednocześnie unosząc wzrok ku ciemnemu niebu. Widzę kilka ledwo widocznych gwiazd, a może satelit i całą masą wzburzonych, kłębiastych chmur.

Nagle opuszczam wzrok, spoglądam w dół, dokładnie pod nogi. Dwadzieścia siedem pięter lotu. Próbuję wyobrazić sobie uczucie spadania, całym sobą, całą masą w dół.

Mózg wariuje, ostatecznie zmierza ku zagładzie. Postępuje wbrew sobie, wbrew logice i instynktowi samozachowawczemu. W skrajnych przypadkach, na ustach samobójcy pojawi się uśmiech, większość żałuje jednak decyzji. Zginę, chcę umrzeć, lecz nim się to stanie... mogę, mogę kurwa, zrobić wszystko... Przeszłość znika, odchodzi, umiera.

Idę ulicą, uśmiecham się. Nucę piosenkę Lady Punk „Zamki na piasku”.

Coś we mnie pękło, coś się zmieniło.

A więc idę ulicą, czuję się rewelacyjnie. Uśmiech? Od ucha do ucha. Zero dyskomfortu, zero hamulców. Nie ma przyszłości, jest tylko teraźniejszość. Plan jest taki. Idę do wypożyczalni, biorę na cztery doby dodga challenger, potem walę do diler, następnie... zobaczymy. Najlepsze są spontaniczne pomysły. Mam odłożonych parę złotych, do grobu przecież nie zabiorę. Śmiało więc można stwierdzić, że budżet imprezy jest całkiem przyzwoity.

- Którą pan życzy wersję silnikową - pyta pracownica wypożyczalni. A propos jasnooka blondynka o zgrabnych, długich nogach.

- Tylko V8 - sześć i dwie dziesiąte litra. Najlepiej z tobą na siedzeniu obok – odpowiadam w myślach.

Faktycznie wypowiadam tylko pierwsze zdanie, czyli - Tylko V-8, sześć i dwie dziesiąte litra.

- Okej. Też bym taki wzięła – pada odpowiedź, zwieńczona uśmiechkiem w kąciku ust.

- Oj wzięłabyś, wzięła – odlatuję myślami. Dla opamiętania wykonuję głęboki wdech powietrza.

Podpisuję papiery, płacę kaucję, zawijam kluczyki i wychodzę.

A więc jadę. Czy warto było? Było, bez dwóch zdań było. Dwukrotnie ścigam się z Mercedesami AMG. Nie dały rady. Pominę w tym miejscu wszystkie BMW czy to trójki, czy też piątki.

Zatrzymuję się w ciemnej uliczce, dokładnie pod bramą budynku znajdującego się w drugim końcu miasta.

Na Karmelową dwadzieścia dwa jestem w stanie trafić z zamkniętymi oczami. Właśnie w tym miejscu, prowadzi swoją działalność biznesową miejscowy diler.

- O Kuźwa Artek. To żeś mi teraz tym dodgem zaimponował – głos diler, nawiasem mówiąc Michała, jest pełen zachwytów, ochów i achów. Nawet nie chcę wnikać, co byłby w stanie zrobić za wejście w posiadanie takiego cacka. Myślę, że wiele, naprawdę wiele.

- Kupiłem, okazja była – wpada mi do głowy pewien pomysł. Taki z rodzaju niecnych.

- Nie pierdoł, ile dałeś? – Michałowi oczy wychodzą z orbit.

- Trzydzieści koła.

- Co ty pierdolisz, za trzydzieści koła, to możesz kupić ibizę cuprę, albo punto Abartha, a nie dodga, nie-
zły wstrzyk.

- Bez kitu ci mówię. Wejdź sobie na aukcje komornicze i zobaczysz. Stary wiesz, jakie tam bryki chodzą. Aukcje komornicze, mówi ci to coś?

Diler zerka na mnie wzrokiem będącym odpowiednikiem słów „przecież nie jestem idiotą”

- Wolałem się upewnić czy kojarzysz – odpowiadam.

- Że, co?

- Nic. Mówiłem do siebie. Z grubsza chodzi o to, że gość bierze sobie w lizingu takiego dodga, rozumiesz? Spłaca na przykład osiemdziesiąt procent wartości i bankrutuje. Komornik wjeżdża mu na konto, zawijają furę i za te dwadzieścia procent opychają złoma. Normalne, że nie wejdiesz tam od tak. Trzeba mieć link i hasło, tam nie ma przypadkowych ludzi.

- O stary, a możesz... wiesz, ten link.

- W zasadzie to mam go tylko dla siebie. Wiesz, jakby to się rozeszło po ludziach...

- Dymają ich na tyle baniek to, co takie autko, tym bardziej, że i tak w znacznej części spłacone. Ale to bezwzględne świnię, te banki, normalna lichwa.

- Zgadza się. Nie przypadkiem zostali wygnani z Egiptu, no, ale cóż, życie.

- Kto? Z jakiego Egiptu? – Michał patrzy na mnie niczym w obrazek świętego, czemu towarzyszą otwarte usta.

- No naród wybrany. To nie wiesz, że z Egiptu za lichwę ich wygnali.

- Że co!? Co ty w ogóle gadasz.

- Autentycznie ci mówię – wyraz twarzy Michała, bezcenny.

- Ta, jasne. Byś pomyślał nad tym loginem, odwdzięczę się.

- Pomyślę, jednak do rzeczy. Dzisiaj potrzebuję coś ekstra, coś, co mnie...

- Tak się składa, że mam coś takiego. PLK. Nowość. Na razie testowałem go na dwudziestu osobach.

Wszystkie twierdzą, że było Bosko, lecz w pewnym momencie myśleli, że umierają, ale to tylko przez chwilę. Taka paranoja, nie akceptujesz tego, co się dzieje, więc ci się wydaje... a zresztą, mniejsza z tym, nie będę ci mówił abys sobie później nic nie wkręcał.

- Dajesz – moja mina nie pozostawia złudzeń, wyraźnie wyostrzam zmysł słuchu.

- Telepatia. Podobno porozumiewali się ze sobą telepatycznie. Rozumiesz?

- Dawaj mi to Michałek i to podwójnie.

- No coś ty. Podwójnej ci nie dam, przekręcisz się. Brałeś kwasa?

Kiwam przecząco głową.

- Weź sobie najpierw połówkę i choćby nie wiem, co przez najbliższe dwie godziny nie bierz reszty.

W moim ręku ląduje tabletką odpowiadająca pastylce Ibuprofenu.

- To na mój koszt. Tylko pamiętaj o loginie.

- Okej, zapytam.

- A wzięłyś mnie przewiózł? Tak tylko tu, kawałek – pyta nieśmiało Michałek.

Dziesięć minut później znajomek wysiada z dodga i machając dłonią na pożegnanie, znika w mroku ciemnej uliczki. Uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Jeszcze nigdy nie jechał dwieście sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Tylko po tym nie prowadź – mówił na odchodne, wciskając do dłoni rzekomy super środek.

- Jasne – odpowiedziałem wtedy.

No właśnie, wtedy to było wtedy. Tymczasem teraz wkładam drażetkę do ust, popijając wodą.

Działa szybko, błyskawicznie, niemalże natychmiast.

Po raz pierwszy, słyszę kolory i widzę dźwięki. Wydobywają się z głośników, rozchodząc na wszystkie strony, wypełniając wnętrze auta. Piosenka „The Miracle” Queen jest cudem.

Żółta gitara basowa, niebieska perkusja, czerwona druga z gitar, pomarańczowe pianino, zielony głos Freddiego Merkurego. Niesamowite. Zatrzymuję się na dużym parkingu przy markecie. Gaszę silnik, podkręcam radio, uważnie wsłuchując się w każdy dźwięk – kolor „The Miracle”.

Naciskam hamulec w ostatniej chwili. Nie pamiętam, kiedy ruszyłem, nie mam pojęcia jak długo jeżdżę bez celu ulicami miasta.

- Co jest? – szepczę nie dowierzając. Droga wygląda na kompletnie zakorkowaną, a tym samym nieprzejezdną, co gorsza w obu kierunkach nieprzejezdną. Nie wiem jakim cudem, znalazłem się w korku. No dobra z tego, co kojarzę, ruch na ulicach jakiś tam był, ostatecznie to sobota wieczór, niemniej taki korek? Najchętniej zjechałbym gdzieś na parking lub pobocze i spróbował poskładać do kupy ostatnie minuty życia. Jazda to najgorszy pomysł. Drzwi stojącej obok taksówki otwierają się.

- No nie, panie szybciej z buta dojdę. Ile się należy?

Kierowca, coś tam odpowiada.

- Ile!?

Otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz. Nie jestem sam, większość kierowców stoi obok aut, spoglądając w stronę mrugających na niebiesko świateł pojazdu uprzywilejowanego.

Ogólny zgiełk, miesza się z klaksonami. Nagle rozlega się krzyk, rozmowy milkną.

- O Boże! Nie! – krzyczy ktoś z przodu.

- Co jest!?

W tłum wkrada się nerwowość. Coraz więcej osób rozgląda się jakby w obawie przed kimś albo czymś. Zauważam kilka biegnących w naszą stronę osób. Poruszają się dziwnie w sposób na pierwszy rzut oka nieskoordynowany. Przecieram ze zdumienia oczy. Ale jazda. Nie wiem, czy to jawa, czy fikcja, ale stojący wokół ludzie, zaczynają się rozbiegać.

Jeden z biegnących, rzuca się na pasażerkę renault scenic.

- Panie, co pan!?

Słysząc krzyk.

Wsiadam do samochodu, zapuszczam silnik. Kilkunastokrotnie cofam to do tyłu, to ruszam do przodu. Ledwo udaje mi się wjechać na chodnik, a stamtąd po przejechaniu kilkunastu metrów, skręcam w małą – ciemną, boczną uliczkę. Kilka metrów dalej zawracam. Skryty w mroku, z odległości kilku metrów, obserwuję uciekających ludzi. Biegący nie tylko przeciskają się między pojazdami, uciekają również chodnikami. Coś tu jest nie tak, ogólnie mam tego dość. Faktycznie może lepiej trzeba było wziąć na początek połówkę tabletki. Teraz to już jednak musztarda po objedzie.

Na uciekającą, dwójkę przerażonych osób naskakują inne dwie osoby, w pewnym momencie do walczących doskakują kolejne dziwnie zachowujące się sylwetki. Najpierw powalają uciekających, a następnie zaczynają wgrzyzać się w ich ciała. Wpatruje się w umierające na moich oczach osoby.

Krzyczą, przeraźliwie krzyczą, błagając o litość. Daremnie, na moich oczach są żywcem pożerani.

Zerkam na kanibali. Ich niegdyś ludzkie twarze, ewidentnie zmieniły mimikę tak jakby na dziką, szaloną.

Umazani krwią, babrają się w trzewiach swych ofiar jakby dla zabawy. Otwieram drzwi, wymiotuję.

Czwarta fala skurczu żołądka sprawia, że nie mam czego zwracać. Wsuwam tułów do auta. Opieram głowę o oparcie zagłówka, przymykam powieki. Po pierwsze muszę unormować oddech, ledwo żyję. Z głośników sęczy się ledwo słyszalna piosenka „In the Air Tonight” Phila Collinsa. Odchylam oparcie fotela, wygodnie rozciągając ciało. Świat pogrąża się w ciemności.

Otwieram oczy, natychmiast żałując decyzji. Słońce razi niemiłosiernie.

Muszę przyznać, że tym razem to mi Michałek zaimponował. Wczorajsza akcja z dzikimi ludźmi... no, no, dla miłośników klimatu post - apo, bomba. Czegoś takiego, choćby nawet częściowo zbliżonego, jeszcze nie widziałem. Normalnie jakbym to spisał, miałbym gotowy scenariusz na horror.

Fakt było nieprzyjemnie, wręcz przerażająco, no dobra, w chwili jak widziałem dwoje rozszarpywanych ludzi, trochę się obsrałem. To było takie realne.

Przekręcam głowę, otwierając oczy. Spoglądam w stronę bocznej szyby, tej od strony pasażera.

Wyginam ciało w taki sposób, by palcami dosięgnąć szkła.

Przez całą szerokość szyby, przebiegają trzy krwawe ślady palców. Unoszę ciało do pozycji siedzącej. Słońce skryło się za chmurą, dzięki czemu mogę dojrzeć ulicę. Kilkaście kałuż krwi, zlało się w jedną krwawą breję. Czerwona posoka zdobi nie tylko bruk ulic i chodniki, wymazane są nią również auta i co większe witryny sklepowe.

Wysiadam z pojazdu. Szybkim krokiem podchodzę do końca budynku, na koniec wyglądam zza rogu. Wokół nie ma żywego ducha. Niezliczone ilości małych szklanych okruchów leżąc na ulicy odbijają światło, zwracając na siebie uwagę. Unoszę wzrok spoglądając na zabudowę. W większości okien nie ma szyb. Pochwycone przez wiatr, dziko tańczące firanki, trzask to otwieranych do zamykanych okien, szczek psa, szum liści i krew, mnóstwo krwi. Wszystko to w jednej chwili odbiera dech.

Robię kilka kroków do tyłu i czym prędzej odwracam się w stronę swego auta.

Trzy metry przede mną, stoi kilkadziesiąt zakrwawionych osób. To już chyba nie są ludzie, a przynajmniej nie tacy jak my, znaczy jak ja. Ci mają dziki wzrok, oni nie myślą to widać. Nimi zdają się kierować instynkty. Wyglądają niczym koszmarni członkowie armii zza światów.

Dwóch pierwszych patrzy na mnie, jakby szykując się do ataku. Nie mija pięć sekund jak pozostali także koncentrują na mnie uwagę.

Nie tracąc czasu natychmiast rzucam się do ucieczki. Ile sił w nogach gnam, za cel obieram stojący kilkanaście metrów dalej autobus.

Kątem oka widzę mijane, porzucone auta. Słońce wychodzi zza chmur, przez co znów odbija się w przednich lub tylnych szybach pojazdów, oślepiając. Mijam kamienicę z wielkim banerem reklamującym partię rządzącą. „By żyło się lepiej”. No żyje się, żyje.

Nogi odmawiają posłuszeństwa, płaczą się. Docieram do celu, natychmiast wczołguję się pod autobus. Byłem na tyle szybki by zgubić pościg, zaznaczyć trzeba dość liczny pościg. Dzikusy rozchodzą się we

wszystkie strony, znakiem, czego zgubili mój trop. Raz na jakiś czas, któryś staje w miejscu, wystrzając wdech. Następnie stoi tak przez dobrych kilkanaście sekund, po czym rusza nieco ospale przed siebie. Próbuja wyczuć mój zapach. Niedobrze, oj niedobrze.

Zupełnie znieacka dopadają mnie kolejne następujące o sobie fale paniki. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Nie ogarniam tego. Po prostu nie ogarniam, chce mi się płakać. Chowam twarz w dłoniach.

- Dobra trzeba pomyśleć, co dalej. Przecież to jakiś sen, jakaś chora paranoja.

Najważniejsze to jak najszybciej dotrzeć do auta, a następnie domu. Bydlaki rozlały się, więc powinienem dać sobie radę.

Działam. Wyłączę spod autobusu. Następnie powoli podbiegam do stojącego nieopodal forda transita i staję z tyłu auta. Słyszę ruch dochodzący z przodu pojazdu, ostrożnie wyglądam. Jeden z nich stoi z nieco uniesioną głową. W pewnej chwili odwraca głowę dokładnie w moją stronę, nasze spojrzenia spotykają się.

Natychmiast chowam się za autem, na chwilę przymykam powieki.

- Boże jego oczy! Zobaczyłem jego oczy.

Istota rusza w moją stronę, ile sił w nogach wybiegam z drugiej strony samochodu. Pędzę przed siebie. Po drodze mijam jeszcze trzech typów zajętych plądrowaniem stojących aut.

Słyszac mnie, natychmiast wyłączą z samochodów, ruszając w ślad za mną. Ich ruchy są jakby nieskoordynowane, mam nad nimi przewagę szybkości.

Dobiegam do dodga, otwieram drzwi, natychmiast wsiadam do środka, czym prędzej rygluję zamki i umieszczam kluczyki w stacyjce.

Wciskam przycisk start/stop, auto odpala.

Ustawiam drążek skrzyni biegów na „Drive”, już po chwili ruszam z miejsca.

Dwadzieścia metrów dalej, muszę manewrować by ominąć dwie istoty. Jadę rzecz jasna chodnikiem, ulica w obie strony jest zakorkowana, a tym samym nieprzejezdna.

Jadę czterdzieści, czasami pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Niespodziewanie przed maską dodga wyrastają dwie postacie. Natychmiast hamuję. Mimo to potraćam obu.

Pierwszy, ten uderzony bokiem challenger, wpada w witrynę sklepową. Drugi, przeokoziółkował wzdłuż auta, głucho lądując na ziemi. Zerkam we wsteczne lusterko. Skurwysyn wstaje, jak to możliwe?

Tymczasem wyjeżdżam na ulicę. Kątem oka rejestruję ruch, natychmiast odwracam głowę.

To amfibia.

Uderzenie jest mocne. Wszystkie organy znajdujące się z jednej strony ciała, jakby naraz, chcą się znaleźć z drugiej strony tegoż samego ciała. Zapiera mi dech w piersiach, obraz zatrzymuje się niczym stop klatka. Czuję drobiny szkła na twarzy, słyszę huk, zapada ciemność.

Jest mi strasznie zimno, tak do szpiku kości. Odzyskuję świadomość. Powoli powracają flesze ostatnich dramatycznych zdarzeń.

Jadę autem, potrącam dwie osoby, nie zwalniając uciekam z miejsca wypadku, wyjeżdżam zza budynku, kątem oka widzę... amfibię.

Otwieram oczy. Najpierw unoszę głowę, następnie dźwigam obolałe ciało do pozycji siedzącej.

Ledwo żyję. Boli mnie głowa, bolą barki, bolą ręce. Po raz pierwszy boli mnie naraz całe ciało.

Patrzę na strzaskaną przednią szybę auta, następnie na wgniecione drzwi boczne.

Chwytam klamkę i uderzeniem barka, próbuję otworzyć drzwi. Uderzenie nie jest silne. Zbolałe ciało nie pozwala na zbyt wiele.

Wypadam z pojazdu, lądując na ulicznym bruku, w ślad za mną podążają setki szklanych drobinek szyby. Jest wieczór, nie mam pojęcia ile godzin mogłem być nieprzytomny. Na pewno kilka, cztery, może pięć. Z trudem wstaję. Widzę kilka stojących na środku ulicy rozbitych aut. Uliczne latarnie, chcąc nie chcąc, rzucają w ich stronę snopy sztucznych światel. Ulice świecą pustkami. Mam tu na myśli szeroko rozumiane wieczorno-nocne życie miasta. Jedynie w jednym oknie pali się światło.

Przez dłuższą chwilę przyglądam się rozświetlonemu mieszkaniu, marzę, aby dostrzec jakiś ruch, cień człowieka. Człowieka nie zwyrodniałej bestii. Niestety, dom jest pusty.

Przebiegam przez ulicę. Spod kół jednego z pojazdów wystają ludzkie zwłoki.

Nie chcę na to patrzeć, idę dalej. Pustka do spółki z ciszą zdają się być inne niż zawsze. Tym razem są złowieszcze, zabójcze.

Niebezpieczeństwo zdaje się czaić wszędzie.

Zupełnie niespodziewanie zza narożnika budynku wychodzi duża postać. Jak duża? Ja mam metr osiemdziesiąt, a sięgam gościowi mniej więcej do brody, tuż za nim podąża jedna z dzikich istot. Mężczyzna odwraca się i jednym ciosem skręca oponentowi kark.

Stoję sparaliżowany lękiem, nagle rozlegają się dwa strzały. Natychmiast kucam. Postawny gość ucieka, pada kolejny strzał. Duży dostał, krwawi, niemniej ucieka, najprawdopodobniej ratując życie. Ostateczne znika zarówno mi jak i snajperowi z pola widzenia.

Ostrożnie wstaję. Od razu spoglądam w stronę, z której oddawano strzały.

Uwagę przyciąga okno na trzecim piętrze. Znajduje się delikatnie po skosie względem wejścia na klatkę schodową. Stoi w nim gość w czarnej czapce z daszkiem. Facet macha ręką, czyniąc to w taki sposób,

aby zostać za wszelką cenę zauważonym.

Oczywiście odmachuję – Uff – wzdycham – Normalny, udało się – uśmiech sam wykwita w kąćku mych ust.

Pada strzał, błyska światło, nogi same uginają mi się w kolanach, tracę czucie w ciele. Spadam w dół czyniąc to z zawrotną prędkością. Brak mi tchu, gaśnie światło.

Koniec.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 29.01.2021 21:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.